

OTWARTY ŚWIAT. ADDENDA

ARKADIUSZ ŻYCHLIŃSKI

Abstrakt: Odpowiedź autora na eseje recenzyjne poświęcone książce *Laboratorium antropofikcji. Dociekania filologiczne* (2014).

Słowa kluczowe: krytyka literacka, filologia, posthumanistyka.

Ideally a course in a subject like literature or philosophy offers students the opportunity to explore the ideas of those who have thought in different and more profound ways about how to live in the world of ours, as individuals and in relationships with others, in a way that connects with the passions and preoccupations inside their heads.

J.M. Coetzee (Coetzee i Kurtz 2015, 159)

1.

Pośród licznych (nietrywialnych) powodów, które skłaniają nas do pisania (niebeletrystycznych) książek, istotne wydaje się zwłaszcza – niejednokrotnie zresztą przez rozmaitych twórców podnoszone – rozróżnienie między dwoma na poły opozycyjnymi. Piszemy, z jednej strony, by przekazać to, co już wiemy, co wiedzieliśmy jeszcze przed rozpoczęciem pisania (które odgrywa w takim przypadku rolę istotnego, ale sukcesyjnego suplementu), zamykając w solidnej konstrukcji myślowej to, co stanowi o naszej metodzie dochodzenia (czy drodze dojścia) do (w określony sposób pojmowanej) prawdy, pragnąc ponadto, rzecz jasna, także pokazać, jak praktyka potwierdza słuszność naszych uprzednich teoretycznych założeń; albo też piszemy, z drugiej strony, także wprawdzie, by coś innym wyjaśnić, bardziej jednak, żeby samym sobie własne myślenie uczynić dostępniejszym, odsłonić jego podstawy i konsekwencje, zastanowić się nad metodą, która z nie w pełni dla nas samych wcześniej uchwytne względów od dawna już kieruje naszymi badawczymi peregrynacjami. O ile w tym ostatnim przypadku chcemy zatem, mówiąc inaczej, naszą wypróbowaną praktykę opatrzyć teoretycznym komentarzem, który pozwoli lepiej zrozumieć jej użyteczność i ograniczenia, o tyle w pierwszym wykładamy pewną obiecującą teorię, do której zarówno już się udaje, jak i zapewne jeszcze nie raz się uda znaleźć praktyczne zastosowanie. Często implikacją tej pozornie drobnej inicjalnej rozbieżności – z której istnienia czytelnik nie musi sobie nawet zdawać sprawy – jest odmienne podejście do materiałowych wyników naszych poznawczych starań: napisana książka staje się, z pierwszego punktu widzenia, początkowym materialnym wykładnikiem, *ergo* kamieniem węgielnym systemu, który w kolejnych latach będziemy systematycznie rozwijać, dokładając do niego następne cegielki, latając dostrzegane i zgłaszane luki, wypełniając braki, dążąc do migoczącej gdzieś na odległym horyzoncie (iluzyjnej) pełni doskonałej, albo, z drugiego punktu widzenia, napisana książka staje się śladem przebytej przez nas drogi, emblematem (tymczasowo definitywnie, definitywnie tymczasowo) załatwionej sprawy, wolno dostępną aplikacją otwartą dla każdego, kto potrafi coś użytecznego z zawartymi w niej rozpoznaniem począć.

Zaczynam od tego przydługiego nieco wstępu, bo ustosunkowując się do głosów dotyczących własnej książki, nie od rzeczy będzie zaznaczyć, skąd mój głos dobiega: zdecydowanie bliższa mi (choć może nie zawsze dostatecznie wyraźnie to podkreślam) druga

postawa; książka, którą wydałem przed ponad rokiem tytułem przedstawienia i teoretycznego opracowania wieloletniej praktyki, nie jest propozycją statycznie normatywną (*ergon*), zamkniętym zestawem przekonań przeznaczonych do każdorazowego uruchamiania w warunkach na przykład studyjnych, lecz raczej – zdecydowanie – intencjonalnie nieustabilizowaną koncentracją idei (*energeia*), które, przy całej spójności, zwartości i precyzji, jakie mogłem osiągnąć i jakie wydawały mi się warte osiągnięcia, pozostaje propozycją fundamentalnie otwartą: „laboratorium” jako koncept jest (tylko) teoretycznym ugruntowaniem wiązki intuicji – rozwinięciem i uzasadnieniem propozycji określonego postrzegania miejsca języka¹, narratywizacji i fikcjotwórstwa w ludzkim sposobie bycia-w-świecie. Mówiąc inaczej, w pewnym nieco upraszczającym skrócie: jest rozwinięciem rozpoznania, że istnieją nieprzemyślane dotąd przez filologię konsekwencje istnienia antropogenetycznego dyspozytywu w postaci instynktu narracyjnego kulminującego w zdolności fikcjotwórstwa; reszta jest rzeczą każdorazowo odmiennego laboranta. Pisałem kompleksową książkę programową, owszem, w trybie tyleż rozprawy akademickiej, co i, niekiedy, afektywnego manifestu², przyznaje, oraz, parcjalnie, analitycznej sekwencji montażowej, ale nie było moim zamierzonym celem wypracowanie uniwersalnego teoretycznego rastra, stworzenie polifunkcyjnego modelu, który umożliwiałby – bezpośrednio – aplikacje, ewaluację, proliferację i reprodukcję, otwarcie pola badawczego, które można by zespołowo uprawiać (płodnie) przez wiele kolejnych lat. Chodziło raczej (*intentio auctoris*) o podanie parunastu impulsów, z którymi – gdyby kogoś to interesowało, gdyby ktoś chciał to robić – można pracować dalej (także zajmując się kwestiami pozornie odległymi). Przechodząc do poniższej szkicowej odpowiedzi na omówienia, jakimi opatrzone moją książkę, dobrze będzie mieć na względzie powyższe zastrzeżenie: nie piszę tu jako strażnik teorii, którą pragnę konsekwentnie umacniać i której nie chcę narażać na obalenie, lecz jako czytelnik własnej książki, teoretyk nadal, przede wszystkim, praktykujący wyłożone w niej podejście.

2.

Lepiej trafić nie mogłem: moją książkę opatrzyło komentarzem – opublikowanym na dodatek w redagowanym kolektywnie piśmie o trafiającej tu w sedno althusserowskiej nazwie – dwóch

¹ Język to „stary gracz”, prawda (najstarszy nawet), lecz trzymam tu z Wernerem Hamacherem, który określa filologię – a *Dociekania filologiczne* to, przypomnę, systematyczny podtytuł mojej książki – mianem „formy bycia-zdanej na język (*die Form der Angewiesenheit auf die Sprache*)”, dodając także: „Filologia jest zatem najsamopierw doświadczeniem wystawienia na działanie języka i bycia sprowokowanym przezeń” (Hamacher 2009, 31). Tak, właśnie.

² Pod takim celnym hasłem skojarzono swego czasu kilka szkiców, w tym także fragment mojej książki, w *Tekstach Drugich*. Por. przenikliwą programową przedmowę Ryszarda Nycza „Afektywne manifesty” (Nycz 2014).

pod wieloma znaczącymi względami bardzo różnych czytelników (a zatem i różnie wypada ich osąd), a przy tym jednak pod tym jednym niezmiernie istotnym (w rzeczy samej najistotniejszym) względem do siebie podobnych (pomijając to, że wszyscyśmy „myślące mrówy”), że niezrównanie skrupulatnych i nadzwyczajnie pomysłowych (choć ich ocena wypada odmiennie, nie idzie ani o [prostą] kompleksową kontestację, ani o [łatwą] bezkrytyczną akceptację)³. Obydwaj podchodzą do lektury inaczej: Przemysław Czapliński, „tęgi” czytelnik, czyli czytelnik silny, ukształtowany i kształtujący, jeden z najciekawiej (i nie tylko o Polsce przecież mówię) czytających literaturę współczesnych literaturoznawców, w swoim tyleż wspaniałomyślnym, co krytycznym omówieniu uwypukla starannie punkty niezgody; Paweł Kaczmarek, czytelnik wnikliwy i dociekliwy, już wpływowy, o jednym z najbardziej wyrazistych młodszych głosów, choć jeszcze się-kształtujący, w szczodrobliwie życzliwym szkicu zwraca uwagę na punkty styczne. Lektura obydwu wypowiedzi daje do myślenia, obydwie – już to *ex negativo*, już to *ex positivo* – odsłaniają konstrukcyjne elementy zamysłu niekiedy (z autorskiego punktu widzenia) nieświadome i niewidoczne, obydwu krytykom ogromnie wdzięczny jestem za ich uwagi i refleksje⁴.

3.

Rozpoczynając lekturę obydwu omówień jako, jak wspomniałem, przede wszystkim czytelnik własnej książki, na początku dostrzegam uderzającą odmienną punkt przyłożenia: Przemysław Czapliński zdaje się traktować tytułowe laboratorium jako przepisowy i zamknięty już zestaw (*Gestell*) do bezpośredniej aplikacji i wskazuje na szereg z własnego punktu widzenia takich czy innych braków, natomiast Paweł Kaczmarek spogląda na nie jako na projekt *per se*

³ Por. Czapliński (2015), Kaczmarek (2015). Do obydwu omówień odwołuję się dalej, przywołując każdorazowo numer strony.

⁴ Podziękowania kieruję w tym miejscu także pod adresem tych innych osób, zwłaszcza Rafała Zawiszy, które w bezpośredniej bądź listowej rozmowie pozwoliły mi lepiej wyklarować własny punkt widzenia. (W bieżącym numerze *Tekstów Drugich* [5/2015] ukazały się także obszerne recenzje Anny Barcz i Łukasza Musiała, nie miałem jednak jeszcze okazji się z nimi zapoznać.) – Głosy te cieszą mnie, przyznaję, poza wszystkim innym także dlatego, że przeczą może wrażeniu, którego się jeszcze nie wyzbyłem, iż moja książka pozostawiła znaczną część (i tak raczej przecież nielicznych) potencjalnie zainteresowanych czytelników dość bezradnymi: w pierwszym cięciu jedni zdali się uznać, że jest (z wielu odmiennych racji) zbyt hermetyczna i mało przyjazna (z jednej strony: „filozofia analityczna?” i „Heidegger?”, z drugiej strony: „jak to właściwie czytać?”), podczas gdy drudzy, przeciwnie, wydawali się po pobieżnym przejrzeniu zakładać, że jest zbyt oczywista (niczym „wtórny i poznawczo jałowy podręcznik dla licealistów”, usłyszałem od któregoś). Nie zmartwiło mnie to jakoś ogromnie – bo, po pierwsze, pewną blokadą recepcyjną jest z pewnością fakt, iż „książkę tę zrozumie ten, kto sam już przemyślał myśli w niej wyrażone – albo przynajmniej myśli podobnie” (by przywołać jednego z jej odległych „wielkich patronów” [w przekładzie Bogusława Wolniewicza]), oraz, po drugie, akurat ta książka należy w niemalej mierze do tych, jakie, domykając myśl, od której rozpocząłem ten szkic, piszemy czasem do minionych siebie (to nieostrożne wyznanie potwierdzi diagnozy tych, którzy i tak wietrzą w całym przedsięwzięciu „błąd solipsyzmu” [trochę jakby zapoznając jego z gruntu kolektywny, zarówno w punkcie wyjścia, jak i przejścia oraz dojścia, wymiar]) – ale cieszyć się z tego także oczywiście nie było specjalnych powodów.

otwarty. Jest to różnica zasadnicza, stąd też musi ona wpłynąć – i wpływa – na trajektorie dalszych wywodów. Myśląc jako czytelnik o książce, której jestem autorem, nie przestaję uważać, że idzie w niej – i byłby to warunek powodzenia całego zamierzenia – o pozostawienie konceptu laboratorium w stanie intencjonalnego nie-do-ustalenia (by przywołać na myśl słynnego laboratoryjnego kota), z otwartą możliwością każdorazowego (doraźnego) zafiksowania zależnie od przyjętego czy najbliższego sobie punktu (albo kąta) widzenia. Zgody wymaga, to prawda, załączkowy aksjomat, wyrażony jednak w stosunkowo nieopresywnej formie: ludzka forma życia różni się od nie-ludzkiej, a *jedno* z przekonujących ujęć owej różnicy może zostać opisane poprzez odniesienie do kompetencji narracyjnej znajdującej optymalne zwięźczenie w przestrzeni (relevantnego antropotechnicznie) fikcyjotwórstwa.

4.

Tyle gwoźli preliminariów. Odnosząc się natomiast szczegółowiej do poszczególnych punktów krytycznych wyeksplikowanych przez Przemysława Czaplińskiego, zacząłbym od paraliżującego, lecz – w moim mniemaniu – chybionego (jak postaram się raz jeszcze wyjaśnić) zarzutu „zacieklego antropocentryzmu”. Zdziwił mnie on (zarzut ów), ponieważ – jako że „antropocentryzm” to nie od dziś podręczny paralizator adherentów (uzasadnionej etycznie) animalistycznej akcji afirmatywnej – starałem się w miarę starannie zabezpieczyć książkę przed tym akurat nieporozumieniem (*misreading*). Dlatego (więcej niż raz) podkreślałem z naciskiem, że idzie o projekt filologicznej antropologii nieantropocentrycznej – „biocentrycznej antropocentryczności” (Żychliński 2014a; kolejne numery stron w nawiasach odnoszą się do tego wydania). *Dictum* Martina Heideggera – „człowiek stoi w centrum, ale nie jako człowiek” (s. 53) – uważam niezmiennie za niezwykle fortunne i pomocne w poszukiwaniu (trzeciej) drogi „między wyraźną teriofilią jednych uczonych i nie mniej wyraźną antropofilią innych – czyli próbę ujmowania różnic w kontekście zakładającym szacunek mimo świadomości przepastnej odmienności” (s. 51). Dla kogo to tylko semantyczne delibacje, ten winien zaproponować inny sposób uwyrażniania różnic. Nigdzie w książce nie mówię o „wyższości” człowieka (relatywność takiego określnika, nieznajdującego zastosowania w perspektywie ewolucyjnej, jest nazbyt jaskrawa), lecz tylko o jego osobności (s. 101). Przytaczam i opatruję komentarzem argumenty tych – bardzo różnych notabene (krańcowo nierzadko: Martin Heidegger i Donald Davidson, Jacques Derrida i Daniel Dennet, Michael Tomasello i Robin Dunbar itd.) – dyferencjonalistów, którzy starają się (pozaafektywnie zazwyczaj) opisywać odmiennosc mimo wszelkich niekwestionowanych podobieństw. Nie czynię tego z tej przyczyny, abym był, jak można by wnosić – w zaciekłym antropocentryzmie zasklepiony – „przeciw zwierzętom” (cokolwiek by to miało w szczególach znaczyć), lecz dlatego, że owa przestrzeń różnicy stanowi

tło (istotne, ale jednak tylko tło skądinąd) mojego głównego wywodu⁵. Z autorskiego punktu widzenia mogę powtórzyć za Pawłem Kaczmarem: „W rzeczywistości bowiem wyjściowe pytanie książki (...) nie brzmi »czym jest różnica antropologiczna?«, ale: »dlaczego fikcje działają?«”.

Gwoli uwyrażenia swojego stanowiska przywołam tu pewien – jeden – akapit mojej książki (z odnośnymi przypisami), bo jego treść pozostaje niezmiennie istotna w kontekście stawianych tu i ówdzie – także przez Przemysława Czaplińskiego, który przytacza tylko jego fragment – zarzutów:

Mimo sympatii dla rozplenienia granic i poczucia niewydolności wielu tradycyjnych kategorii antropologicznych, a więc mimo świadomości konieczności ponownego przemyślenia podstaw antropologii (filozoficznej), próby nowego podejścia do starej kwestii podejmowane pod szyldem posthumanistycznej kompensaty jawią się jako głęboko niejasne i zamglone⁶. Idąc we właściwym kierunku, postąpiono kilka kroków

⁵ Proponowane w książce podejście dałoby się (zapewne) wyłożyć także – inaczej pomyślawszy całość – bez akcentowania różnicy antropologicznej (co zdjęłoby może ze mnie odium „psuja”, por. s. 52), ale ani, po pierwsze, nic by to nie zmieniło co do mojego stanowiska, ani też, po drugie, nie przydało wykładowi spójności. Nader istotne będzie jednak zachowanie w pamięci, że, jak piszę na otwierającej stronie, „[w]iedząc, że nie istnieje widok znikąd, wybieramy dogodny punkt wyjścia – okreśmy go mianem perspektyw filologicznej” (s. 9), z czego wynika dalej, iż „[n]ie będzie mnie tutaj interesować »la question animale« (Jacques Derrida), punkt wyjścia rozwijających się dziś nadzwyczaj pręźnie *animal studies*. Celem mojego komentarza, przyjmującego formę ugruntowanej spekulacji, jest eksplikacja pytania o człowieka [czy gdybym napisał „ludzkie zwierzę”, ta różnica robiłaby różnicę? – AZ] z punktu widzenia jego istotności dla filologii” (s. 50) – i z powyższych stwierdzeń wynika chyba dostatecznie wyraźnie, że perspektywa filologiczna, w obrębie której pozycjonuję w określony sposób różnicę antropologiczną, nie jest żadną miarą punktem archimedesowym w rozważaniach dotyczących kwestii zwierząt. Pozwolę sobie przypomnieć jeszcze jedno zdanie: „Największe nieszczęście tego rodzaju pytań o człowieka polega na tym, że pojedyncze nauki szczegółowe sądziły przez długi czas – i nierzadko wciąż tak sądzą – że tylko one dostarczą właściwej odpowiedzi, zapoznając fakt, że odpowiadają na to pytanie w sposób właściwy jedynie z własnej partykularnej perspektywy” (s. 56). Tę akurat błędnie nie popełniam. (Na ogólniej postawione pytanie *What Kind of Creatures Are We?* [tytuł ostatniej książki Noama Chomsky’ego, zob. Chomsky 2016] zapewne nigdy nie znajdziemy – mimo pozornie „obiektywnych” faktów badawczych – satysfakcjonującej odmienne temperamenty odpowiedzi, stąd też pozostaje przeświadczenie, że „najwyższa wiedza zasadza się na wiedzy o jednostronności nawet najwyższej wiedzy” (Seel 2009, s. 10; por. także Żychliński 2014b).

⁶ Najbardziej konsekwentna i inspirująca pozostaje tu myśl Jacques’a Derridy. Nowe nauki humanistyczne, pisze on, nauki humanistyczne jutro, „zajmą się historią człowieka, ideą, figurą i myślą o tym, co jest »właściwe dla człowieka« [»propre de l’homme«] oraz nieskończoną serią opozycji, które determinują człowieka, zwłaszcza tradycyjną opozycją formy życia nazywanej człowiekiem i formy życia nazywanej zwierzęciem. Ośmielę się twierdzić, nie będąc tu w stanie tego dowieść, że żadna z tradycyjnych koncepcji tego, »co jest właściwe dla człowieka«, a stąd też tego, co jest jego przeciwieństwem, nie wytrzyma konsekwentnej analizy naukowej i dekonstrukcyjnej” (Derrida 2001, 68). Żeby lepiej zrozumieć, do czego zmierzam, dodajmy do tego pozornie antytetyczną myśl z *L’Animal que donc je suis* (Derrida 2011, 52): „nigdy nie wierzyłem w żadną homogeniczną ciągłość [à quelque continuité homogène] pomiędzy tym, co nazywa *siebie* człowiekiem a tym, co *on* nazywa zwierzęciem”. A zatem? Nie istnieje granica, mówi Derrida, co nie znaczy jednak – i w tym różni się on od wszystkich tych „licznych bystrych intelektualistów, którzy tymczasem postawili krzyżyk na temacie człowieka jako nieaktualnej figurze teoretycznej” (Sloterdijk 2001, 127) – że nie istnieją *granice*. (Analogiczny wywód z przestrzeni filozofii analitycznej por. Diamond 1995). „Umysł człowieka (*Our minds*)”, zauważa trzeźwo Daniel Dennett, „jest pod wieloma względami dokładnie taki, jak umysły innych zwierząt, pod innymi zaś całkowicie się od nich różni” (Dennett 1997, 8). W mojej książce mowa o tych wybranych granicach, których istnienie i refleksja nad którymi wydaje mi się istotna z pewnego określonego – filologicznego – punktu widzenia.

za daleko. Nieprzejrzyste pomieszanie różnych płaszczyzn opisu (zwłaszcza płaszczyzny ontologicznej, epistemologicznej oraz etycznej) skutecznie przeszkadza w efektywnym przeformowaniu głównego, chwalebnie skądinąd zamysłu wielu posthumanistycznych myślicieli: zmiany powszechnej etycznej nieodpowiedzialności w stosunku do zwierząt⁷ (s. 58–60).

Tu miejsce może na wtórny bieżący. Przygotowując nie tak dawno temu recenzję wydawniczą tomu (pod nader charakterystycznym tytułem) *Zwierzęta i ich ludzie: Zmierzch antropocentrycznego paradygmatu*, napisałem – a ponieważ nie zmieniłem zdania w tej kwestii, niech wolno mi będzie i tę wypowiedź ponownie przytoczyć – co następuje:

Po humanistycy krąży kolejne widmo niesłusznie wykluczonych: nadszedł czas na animalny *coming out*. Zmiana sposobu postępowania (coraz bardziej nagląca) niemożliwa jest bez zmiany sposobu myślenia, a ta będzie – jak chcielibyśmy sądzić – efektem ścierania (się) poglądów w dyskusji. Do tego rodzaju dyskusyjnego starcia prowokują zgromadzone w niniejszym tomie próby oddania głosu licznym niemy (choć często wymownym) współtowarzyszom ludzkiego istnienia. Czas pokaże, czy sondowane przez różnodyscyplinarnych badaczy próby innego mówienia staną się zaczynem innego myślenia; nawet jeśli niektórym pisane będzie pozostanie intelektualną prowokacją, ich zasługą jest wyzwanie rzucone bezrefleksyjnym iluzjom zdrowego rozsądku⁸.

Otóż tak właśnie, przyznając, sądzę, nie tego dotyczy jednak moja książka – starałem się w niej, na ile to możliwe, wynegocjować dla siebie w tym względzie pozycję poza najprostszą binarną opozycją „za vs przeciw” (będąc oczywiście „za” zwierzętami, ale „przeciw” niwelowaniu otchłannej różnicy, chcąc móc być „za”, pozostając zarazem „przeciw”, sugerując nawet, że nierzadko owo „za” bez „przeciw” stoi na glinianych nogach itd.).

Być może jednak w nie dość jednoznaczny sposób i niedostatecznie często podkreślam owo „za” poprzedzające mocniej wyakcentowane siłą wywodu „a nawet”. Obecność w książce nie-ludzi tłumaczy się – ze względu na obronę perspektywę – racją wyjaskrawiającego różnice kontrastu i u czytelników znudzonych wszechobecną „człowieczością” może budzić rozdrażnienie. Jednak pojawiające się już w tytule książki

⁷ „Krowa”, notuje w *Dzienniku* Witold Gombrowicz, „jak mam zachować się wobec krowy?” (Gombrowicz 2001, 36.) Robert R. Brandom, filozof z uniwersytetu w Pittsburghu, proponuje rozróżnić w ramach umysłowości (*mindedness*) pomiędzy zdolnością do odczuwania (*sentience*) a zdolnością do racjonalnego myślenia (*sapience*) (Brandom 2009, 135.) Jeśli zwierzęta mogą cierpieć, to nie ma znaczenia – z etycznego punktu widzenia – czy mogą rozumować albo mówić. „Jeśli chodzi o kwestię moralną, jak powinniśmy traktować nieme istoty, to nie widzę powodu, by być mniej życzliwym dla tych istot, które nie mają myśli albo języka, niż dla tych, które je mają – wprost przeciwnie!” (Davidson 1992, 236; przekład nieznacznie zmieniony).

⁸ Wypowiedź umieszczona na okładce książki, która – pod redakcją Anny Barcz i Doroty Łagodkiej – ukazała się w ubiegłym roku nakładem Wydawnictwa IBL w serii „Nowa Humanistyka”.

„antropofikcje” – tym nie od razu odsłaniającym swoje znaczenie neologizmem opatruje, przypomnę, te fikcje (czyli, w odniesieniu do literatury, te utwory beletrystyczne), które pomagają człowiekowi zorientować się, co znaczy być człowiekiem, za pomocą których, innymi słowy, człowiek orientuje się, jak to jest być człowiekiem (nie jest to bowiem rzecz bynajmniej tak oczywista, jak mogłoby się na pierwszy rzut oka wydawać), a zatem te fikcje literackie, które można traktować jako wnikliwe badania sposobu istnienia człowieka – są jedynie operacyjnie użyteczną kategorią programową, niczym ponadto. Zarazem, nie przeczę, „tym, co trzeba spróbować pojąć”, jest, notuje Paul Valéry, a ja podchwytuję tę (prostą dość) myśl, oferując (tylko) jej wieloaspektową trawestację i translację, „całościowy sposób funkcjonowania człowieka (*le fonctionnement d'ensemble de l'être humain*)” (Valéry 1973, 782). Człowiek, człowiek, człowiek – który jednak „stoi w centrum (naszego zainteresowania), (...) nie z racji tego, że jest człowiekiem, tylko dlatego, że my sami nim jesteśmy” (s. 53). Czy ta różnica robi różnicę? Moim zdaniem jest kluczowa.

„Zdumiewająca jest (...) łatwość”, pisze Przemysław Czapliński, „z jaką autor monografii poświęconej fikcjom lekceważy właśnie fikcje, w których poznajemy rzeczywistości odwrócone: oto Polifem konsumuje od czasu do czasu kanapkę z człowieka; Guliwer trafia do krainy Brobdingnag, w której olbrzymy mogą zniewolić człowieka; w serii filmów *Oby* poznajemy pozaziemską istotę, która potrzebuje ludzkiego ciała jako kokonu...”. To dobry punkt zaczepienia dla wyłożenia nieco innego rozumienia owego odwrócenia: otóż nie sądzę, abym lekceważył owe pozornie nie-antropofikcje (quasi-animofikcje czy, ogólniej, alofikcje) – omawiając przy tej czy innej okazji, więcej niż raz, nie tylko (choćby) *Dociekania psa* Franza Kafki, *Życie owadów* Wiktora Pielewina czy *El policía de las ratas* Roberta Bolaño, lecz także (na przykład) wielkie obrazy osiowej inności (*Człowiek słoń* Davida Lyncha i *Dziki dziecko* François Truffaut [oraz, zmieniając medium, *The Wild Child* T.C. Boyle'a]) i transcendującej różnicy tożsamości (od *Lowcy androidów* Ridleya Scotta [wersja filmowa daleko lepsza od powieści Dicka]) przez *Non serviam* Stanisława Lema do *El último lobo* László Krasznahorkaia), o programowym progresywizmie moralnym fikcji literackich J.M. Coetzego nie wspominając). Weźmy jednak następujący ustęp (monolog narratora) z (intrygującej formalnie) *Powieści naturalnej* Georgi Gospodinowa:

Budowa dwuskrzydłowych, w szczególności much, jest bardzo ciekawa. Oko muchy jest prawdziwym odkryciem. Dobrze rozwinięte, obejmuje właściwie całą głowę. Składa się z tysięcy małych oczek, fasetek, każde z nich jest sześciokątne i lekko wypukłe. Każda fasetka przyjmuje tylko jedną plamkę z obrazu, a cały obraz łączy się w mózgu. Tak więc mucha patrzy na świat mozaikowo, czyli fasetkowo. Przyjęło się uważać, że muchy są krótkowzroczne, ale jakież bardziej szczegółowe, bardziej detaliczne spojrzenie na świat możemy sobie wyobrazić? Fragmentaryczność, którą stosują jako chwyt niektórzy powieściopisarze, tak naprawdę jest zapożyczona od oka muchy. Cóż

za powieść powstałaby, gdyby udało się namówić muchę, by opowiadała...
(Gospodinow 2009, 91).

Cóż, tak, oczywiście, jednak – należałoby stosownie wydłużyć tę pauzę – muchy nie opowiadają. „Skąd to nagle zainteresowanie muchami? Przekonuję samego siebie, że z powodu powieści, którą chcę napisać. Fasetkowej powieści, przypominającej sposób widzenia muchy. I jak ono, powieści pełnej szczegółów, najdrobniejszych rzeczy, po prostu niewidocznych dla oka. Powieści codziennej jak mucha”. Sens pozornie „odwróconym”, a stąd jakoby nieantropocentrycznym świadectwom nadać może jedynie człowiek – stąd zarówno Kafka, jak i Pielewin et al. więcej mówią o ludziach niż o psach czy owadach – i stąd także ich fikcje nazywam antropofikcjami⁹.

5.

Co do drugiego (protekcynego czy też projekcyjnego) zamknięcia, o którym wspomina Czapliński, sprawa jest nieco bardziej złożona. Nie wydaje mi się, żebym w książce mówił coś więcej aniżeli, że (transponując Petera Sloterdijka) istnieje napięcie wertykalne między (z punktu widzenia intensywności wglądu w życie-rys, czyli [nie chciałbym nadużywać tej frazeologii, ale chodzi, przypomnę, o] struktury egzystencji) wyższymi (inaczej: bardziej udanymi) i niższymi (a zatem mniej udanymi) formami fikcji (literackich i innych), tj. za użyteczne uważam ćwiczenie władzy krytycznoliterackiego sądenia. Nie ma to oczywiście nic wspólnego z narzucanymi odgórnie rozdziałami między kulturą „wysoką” i „popularną” czy między (ustalonym już) „kanonem” a magmową (jeszcze) produkcją współczesności itd. (nie uważam też, jak wciąż czyni to na przykład część literaturoznawców, że „literatura” jest formą sztuki narracyjnej zajmującą w odniesieniu do efektów swoich starań we wspólnej sprawie miejsce *per se* szczególne). Oznacza to jedynie, że obstaę przy istotności wartościowania (istnienia „nad” i „pod”).

Weźmy kolejny bieżący przykład. Javier Marías nie dlatego jest pisarzem (wielokrotnie) lepszym od Philipa K. Dicka – powieści obydwu (*Así empieza lo malo* i *Człowiek z wysokiego zamku*) mam właśnie, kończąc każdorazowo drugą lekturę, świeżo w pamięci – że jest sukcesorem „wysokiego” modernizmu, podczas gdy Dick tworzy w obrębie subgatunku z gruntu upośledzonego w opinii bardziej konserwatywnej części literaturoznawczego establishmentu,

⁹ Dlatego także z pewną ostrożnością obchodzę lukiem „posthumanizm”, gdy ten wyraża deklaratywną wolę – nie zawsze tak się dzieje, bo koncept ten różnie bywa ujmowany – rozważania warunków możliwości współistnienia zbiorowości istot, które trudno będzie już określić mianem „ludzi”, jak dziś rozumiemy (zazwyczaj) termin „człowiek”. Będąc (dziś) przekonany, że owe możliwe istoty nie mniej trudno nam sobie (chwilowo) wyobrazić niż ideę „wielkiego stwórcy”, zachowuję „apofatyczny” dystans i dyskusję na temat naszych wizji owych potencjalnie innogatunkowych sukcesorów pozostawiam – mimo pokusy – „obcym wnukom”.

i także nie z tego względu, że pierwszy jest wirtuozem frazy, podczas gdy drugi co najwyżej sprawnym rzemieślnikiem¹⁰, lecz przede wszystkim dlatego, że pierwszy znaczy pewną przestrzeń na egzystencjalnej mapie, podczas gdy drugi wyczerpuje się w eksplozji – znakomitego, prawda – pomysłu¹¹. Przy czym, żeby rzecz uczynić mniej prostą, cenić można przecież zarówno jednego, jak i drugiego – niekoniecznie jednak dostrzegając dobre powody, które kazwałyby optować za powszechną dewertykalizacją¹².

Osobną grupę stanowią autorzy, których jako czytelnicy/krytycy/teoretycy nie cenimy. Ezra Pound pisze gdzieś, że „badanie literatury to kult herosów”, bo „historia sztuki jest historią arcydzieł, a nie porażek i przeciętności” (Pound 1999, 5) – i mnie, przyznaję, to podejście jest, tak, najbliższe, ale nie przez wzgląd na pokusę elitarystycznego gestu przeestetyzowanego literaturoznawczego dandysa (który bezwiednie „po prostu” nie spoufala się z literackim „stanem trzecim”), lecz tylko i wyłącznie ze względu na to, że z kiepskimi fikcjami literackimi (podobnie jak filmowymi czy growymi) nic „po prostu” sam nie potrafię począć¹³. Niczego z nich nie potrafię począć – nie przecząc przecież, że są badacze, którzy (nie tylko, lecz także) z badania „porażek i przeciętności”, z badania, innymi słowy, soli literackiej ziemi, uczynili przedmiot fascynujących nierzadko (socjologizujących zwłaszcza) analiz (najlepszym współczesnym przykładem jest Franco Moretti, zaś w Polsce robiący niezależnie od niego rzeczy niekiedy odległe zbieżne Przemysław Czapliński właśnie)¹⁴. Ale mnie

¹⁰ Nie są to być może najszcześniejsze określenia, jednak prowizorycznie przy nich pozostanę. Roberto Bolaño pisze gdzieś, że Dick to „Kafka pelen LSD i wściekłości”, ale podczas gdy Kafka był fantastycznym stylistą, Dick zdecydowanie nim nie jest. Vladimir Nabokov mówi o sobie z charakterystyczną skromnością: „Myślę jak geniusz, piszę jak najlepszy stylistą, ale mówię jak dziecko” (Nabokov 2016, 9) – co w jego przypadku (chyba) było (raczej monstualnym) przerysowaniem, za to z drobną modyfikacją nieźle odnosi się właśnie do Dicka, który myśli jak geniusz – owszem, dlatego oddałem mu (jak dotąd) pięćdziesiąt trzy centymetry półki (a, strach myśleć, Rebis nie skończył jeszcze reedycji) – ale pisze najczęściej jak grafoman. (Zagorzali miłośnicy nie tylko pomysłów, ale i frazy Dicka dadzą mi do wiwatu. Świetnie – wartościowanie to przecież chwiejna dialektyka zgody i sporu).

¹¹ Notabene w rzeczonyj powieści Dicka znajduję wspaniale samozwrotne zdanie: „Zadziwiająca jest ta zdolność literatury, nawet taniej, popularnej literatury, do działania na wyobraźnię” (Dick 2011, 172).

¹² Nie idzie mi także, rzecz jasna, ani o „rozstawianie po kątach” (zazwyczaj staram się jednak unikać bezpośrednich atrybucji w rodzaju powyższej), ani o aptekarskie odważanie „wielkości” (bo każdy wielki twórca jest jeden – ten jest największy, ten drugi też jest największy [parafrazując jednego z takowych]).

¹³ Krytyk dobiera sobie towarzystwo, chciałoby się odwołać do Emily Dickinson, lecz lepiej tego nie robić, pamiętając o kolejnych wersach: „i – zatrząskuje Drzwi”, „ma w sobie prawie Wszystko”, „z Reszty sobie drwi” (por. Dickinson 2000, 69). Powiedzmy zatem, że krytyk dobiera sobie towarzystwo ze względu na samowiedzę, która, jeśli ma szczęście, chroni go przed grzęźnięciem w tym, na temat czego nie ma nic do powiedzenia i co także w interakcji z nim uporczywie milczy, ale ani nie zatrząskuje drzwi (długo nie umiałem nic począć z Henrym Jamesem, wstyd przyznać), ani nie ma w sobie wszystkiego (cokolwiek by to miało dokładniej znaczyć, znaczy chyba koniec mówienia i początek głoszenia), ani też oczywiście wcale nie drwi z reszty. Reszta jest, po prostu, (jego) milczeniem.

¹⁴ A żeby znowu dać przykład z własnego obojścia: Klaus Theweleit pokazuje w *Męskich fantazjach* (książce, którą redagowałem naukowo w czasie pracy nad własną), że wartość dodana płynąca z przetrzysania miernej literatury ze względu na kryjące się w niej wglądy dotyczące (nieuświadomionego) społecznego imaginarium może być – i jest – ogromna. Prawda – tyle tylko, że to akurat nie moje badawcze *métier*.

w laboratorium interesują wycinkowe kartografie ludzkiej egzystencji możliwe do wyekstrahowania z pojedynczych fikcji literackich – zakładam istnienie, mówiąc nieco koturnowo, niepospolicie utalentowanego (to jest, rozwijając nieco, widzącego lepiej, dokładniej, wyraźniej itp.) twórcy, zamykającego w fikcji własną integralną wizję, przekraczającą oczywiście (holistycznie i emergentnie) swoją każdorazową partykularną intencję – a niczego w tym względzie interesującego na temat człowieka nie dowiedziałem się (nigdy bodaj) z marnych fikcji: możemy się z nich dowiedzieć niemało (ale, istotne zastrzeżenie, biorąc je za pretekst, czyli wykorzystując w określonym celu, nie za tekst mający być partyturą dla naszej wyobraźni) na temat, na przykład, idiosynkrazji autora czy zbiorowych społecznych fantazmatów, albo, czytając *en bloc*, mechanizmów kolektywnego istnienia itd. – tyle tylko, że mnie to akurat (obecnie, kto wie, co przyniesie jutro) nie interesuje. Co nie znaczy jednak, to chciałbym ponownie podkreślić, że laboratorium jest z gruntu na tego rodzaju analizę zamknięte. Bo osobista preferencja autora (czyli w tym przypadku moja) to tylko partykularny punkt widzenia *jednego* z wielu posiadających dostęp do laboratoryjnych pomieszczeń badaczy.

6.

Co do trzeciego (pozornego) zamknięcia, krytyczna diagnoza wydaje się zmierzać w kierunku zarzutu prześlępienia konsekwencji różnicy medialnej. Nie sądzę jednak, abym pozwolił sobie na aż tak daleko posuniętą krótkowzroczność. To raczej świadoma *epoché*, redukcja medialna: wiedząc, że medium nie jest antropologicznie neutralne, czasowo zawieszam tę wiedzę, ponieważ z punktu widzenia odsłaniania podstaw (co jest właśnie głównym celem książki) ta różnica nie robi aż tak znaczącej różnicy. By raz jeszcze przywołać odnośny *passus* z książki:

każde medium narracji, a w jego obrębie gatunek czy format, posiada własną odrębność i związane z nią atuty. Zamiast redukować jedno media (oraz gatunki i formaty) do innych – zwróćmy uwagę, że od kiedy można oficjalnie przyznawać się do lektury kryminalów, nagle pojawiły się pomysły, że to właśnie kryminały najtrafniej opisują współczesną rzeczywistość; odkąd nie jest już niestosownym oglądanie seriali, naraz zaczęto organizować konferencje, na których forsuje się opinie, że to właśnie seriale są naturalnym sukcesorem odchodzących do lamusa powieści; ledwie zaczynamy rozmawiać o grach, wnet pojawia się pytanie, czy nie są dziś one aby lepsze od literatury etc. – powinniśmy (bo redukcjonizm zapoznaje rzeczywiste źródło *fascinosum*) próbować raczej wyodrębnić przestrzeń efektywnego antropotechnicznego oddziaływania w celu zagospodarowania pola efektywnej symbiozy (s. 32 n.).

I dalej: „Takie podejście nie oznacza, rzecz jasna, konieczności zapoznawania mniej czy bardziej istotnych intermedialnych różnic – związanych zwłaszcza z odmiennymi możliwymi strategiami odbioru (od aktywnej pasywności do pasywnej aktywności)” (s. 33). Oraz w końcu:

Gwoli ścisłości odnotujmy przynajmniej na marginesie niebezpieczeństwo związane z prześlepieniem zmiany, ryzyko wynikające z pominięcia różnic, kiedy skupiamy się na tym, co fikcjom wspólne niezależnie od mediów narracji. Zgodnie z klasyczną (i potwierdzoną dziś przez neurologów) tezą Marshalla McLuhana media nie są tylko nośnikami informacji, lecz długofalowo zmieniają także nasz sposób percepcji, sposób myślenia i działania. Z tego punktu widzenia przekanalizowanie instynktu narracyjnego (kryzys czytania przy jednoczesnym rozkwicie innych mediów narracji) może mieć nader istotne znaczenie (jeśli uznamy, że pewne media preferują formaty, które w szerszej perspektywie zmieniają optykę recypowania fikcji) (s. 34).

Zdając sobie z powyższego sprawę i nie dążąc bynajmniej żadną miarą do zgłajszaltowania fikcji niezależnie od mediów narracji, pozostawiłem sobie – z punktu widzenia, z jednej strony, przyczynków do rekonstrukcji właściwej człowiekowi narracyjnej dyspozycji fikcjo twórstwa, oraz, z drugiej strony, interesującego mnie metodycznie spekulatywnego egzystencjalizmu, pojęciowego kartografowania egzystencji – wolność wzięcia tego rozpoznania w poznawczy nawias.

Tytułem kolejnego aktualnego przykładu: *The Counselor* to trzeci scenariusz Cormaca McCarthy'ego, tekst napisany w zasadzie od razu z przeznaczeniem do przełożenia go na język filmu. Powstał w roku 2012, opublikowano go wraz z premierą filmu jesienią 2013 roku. Film (dystrybuowany w Polsce pod tytułem *Adwokat*) w reżyserii Ridleya Scotta (z Cameronem Diaz, Javierem Bardemem i Bradem Pittem) zebrał zadziwiająco kiepskie recenzje, podczas gdy scenariusz w formie książki oceniano raczej dobrze. (Wydaje się, odnotuję na marginesie, że to charakterystyczny przypadek, który wymagałby osobnego omówienia: Ridley Scott nakręcił film bardzo dobry, ale otwierający się chyba dopiero widzom znającym już treść scenariusza: inni mogą być zbyt mocno skonfundowani i zawiedzeni odnośnie do oczekiwań). W interesującym nas tu kontekście odnotowuję zaś, że mamy do czynienia ze scenariuszem filmowym, który na niedawnych zajęciach omawialiśmy zarówno w medium filmu, jak i w medium literatury¹⁵. Czy z perspektywy bliskiego mi podejścia lekturowego – owego spekulatywnego egzystencjalizmu, pojęciowego kartografowania egzystencji – coś się zmienia, zapytywałem siebie i uczestników zajęć, gdy czytamy scenariusz czy sztukę albo gdy oglądamy film czy czytamy powieść lub opowiadanie? Otóż z punktu widzenia tematycznej analizy egzystencjalnej nie zmienia się właściwie nic szczególnie znaczącego. Mogą dochodzić pewne dodatkowe aspekty, które, dyskretnie kolonizując naszą wyobraźnię, rzutują na naszą

¹⁵ Podobnie rzecz ma się także ze sztuką teatralną *The Sunset Limited* (2006) McCarthy'ego, którą (kolejny drobny przyczynek do kwestii gatunkowości) autor określił mianem powieści w formie dramatu (czy udramatyzowanej powieści), a która została sfilmowana w reżyserii Tommy'ego Lee Jonesa (2011) i także można – nie jako przykład (udanego lub nie) przekładu intersemiotycznego, lecz jako próbę *dire quasi la stessa cosa* (Umberto Eco) – omawiać jej wersję literacką i/albo filmową (tu różnice są jeszcze mniejsze: McCarthy był przez większość dni zdjęciowych na planie, a w audiokomentarzu do filmu omawia sceny wespół z aktorami).

interpretację – jednak medium miałoby znaczenie o tyle, o ile znacząco wpływałoby na recepcję – a na przykład w tym wybranym przypadku różnice (z punktu widzenia interesujących nas celów) są tak nieznaczne, że możliwe do pominięcia.

Gdy z kolei obecnie silnie zajmuje mnie pojęcie postępu w fikcjotwórstwie – i pytania w rodzaju: Jak zmieniają się współczesne formy fikcjotwórstwa? W jakiej mierze dostosowywanie formy medium do zmian nastawienia percepcyjnego odbiorców oddziałuje zwrotnie? Czy współczesny kryzys fikcji literackich można postrzegać jako część szerszej zmiany, w dłuższej perspektywie prowadzącej być może do zastąpienia ich (w większości funkcji) przez fikcje zapośredniczone przez media potęgujące doznania immersyjne? – i zakładam prowizorycznie, że postęp ów można by ująć teoretycznie jako nowatorstwo formalne o konsekwencjach epistemologicznych, doskonalenie iluzji formalnej w służbie iluminacji poznawczej, to oczywiście pewne medialne różnice, mniej istotne z wyłożonego wcześniej punktu widzenia, zyskują na znaczeniu. Jeden z najwybitniejszych komparatystów w dziejach tej stosunkowo młodej dyscypliny, Wiktor Szklowski, pisał niezwykle przenikliwie blisko sto lat temu, że „nowa forma nie powstaje, aby wyrazić nową treść, lecz aby złuzować starą formę, która straciła już swój charakter jako artystyczna forma wyrazu”¹⁶. Można odnieść te słowa nie tylko do obszaru fikcji literackich, lecz fikcjotwórstwa w ogóle, i, tonując nieco, powiedzieć, że najczęściej chyba nowa forma nie tyle złuzowuje wcześniejszą, która się przeżyła, co pojawia się obok niej, odpowiadając na przykład na nieco zmienione i niekoniecznie wyrażone wprost, często raczej odgadywane z charakteru ducha czasu oczekiwania odbiorców (większość zmian zachodzi przy tym jako dyskretne eksperymenty). Dubravka Ugrešić notuje w trybie samoobserwacji:

Ogólnie wiadomo, że technologia radykalnie zmienia percepcję wszystkiego, a więc także czasu. Przed trzydziestu laty z radością poświęcałam godziny na studiowanie estetyki filmowej Andrieja Tarkowskiego i podobnych reżyserów. Dzisiaj z pewnym wstydem przyznaję, że moje oko po prostu już odwykło; kadry są zbyt długie, zbyt powolne, opowieść, jeśli w ogóle jest, to niejasna i rozwlekła. Kiedyś lubiłam filmowe «artystostwo», dzisiaj nie mam już do tego cierpliwości, po drodze dałam się złapać na filmowy fast food. On krąży w moich żyłach, zmienił rytm mojego serca, wrażliwość mojej uwagi, rytm wdechów i wydechów (Ugrešić 2013, 91 n.).

Wszystko to musimy naturalnie mieć na względzie, jeśli nie chcemy (błędnie) zakładać, że w zasadzie nic się nie zmienia (ludzie jak opowiadali, tak opowiadają rozmaite historie), podczas gdy pogłębiona choćby nieco obserwacja poucza nas, że mimo wszystkiego, co stałe (ludzie jak opowiadali, tak opowiadają rozmaite historie) zmienia się jednak wiele. Nie jest jednak tak, że

¹⁶ Шкловский 1983, 32 - tej jednej z głównych prac Szklowskiego nie przetłumaczono dotychczas, poza dwoma rozdziałami, na język polski.

wcześniej zmian, przesunięć i różnic nie zauważałem, teraz je natomiast widzę: uważam raczej, jak o tym pisałem, że jakkolwiek istotne są z jednego punktu widzenia, z innego można je w sposób uprawniony pominąć¹⁷.

7.

Zarzuty Przemysława Czaplińskiego byłyby, ogólnie rzecz biorąc, słuszne, jak myślę, tylko w odniesieniu do pewnej możliwej praktycznej ekstrapolacji tez mojej książki – ktoś mógłby zaproponowany przeze mnie szkielet laboratorium wypełnić w taki sposób, że nadalby części zarzutów nośność – co do samych teoretycznych ram jednak nie wydają mi się one zasadne. Warto zastanowić się na marginesie, jakie byłyby każdorazowe konsekwencje przewyciężenia owych (wirtualnych) zamknięć. Co do pierwszego punktu, czyli postulatu wzięcia w nawias różnicy antropologicznej, to albo, patrząc praktycznie, nie zmieniłoby się nic (ponieważ deklaracyjna zmiana nastawienia nie pociąga za sobą z konieczności ani żadnych teoretycznych wolt, ani także żadnych konkretnych przesunięć w sferze interpretacji), albo zmieniłoby się „wszystko” (ale nie umiem, przyznaję, odpowiedzieć sobie na pytanie, jak tego rodzaju zmiana może wyglądać i jaki [nowy?] kształt dyscypliny implikuje – z niezmienną ciekawością czekam więc na kolejne prace realizujące wzmiankowany dezyderat). W stosunku do punktu drugiego to znacznie bardziej klarowne: mogłoby chodzić choćby o opozycję „czytania zdystansowanego” (niezainteresowanego wartościowaniem, ponieważ sondującego fikcje literackie – albo także fikcje innego rodzaju – ze względu na ujawniające się w nich fakty niezależne od przypisywanej im wartości artystycznej) względem „bliskiego czytania”, czyli o wypracowywanie kwantytatywnych metod analizy potężnych zbiorów tekstów (niekoniecznie „dziel”) literackich (por. Moretti 2014). Jeśli zaś chodzi o punkt trzeci, to wiemy (chyba) doskonale, jak wygląda przestrzeń kultywowania różnic – to dzisiejsze (mikro-)podziały (sub-)dyscyplinarne, czyli zapoznawanie źródłowego faktu, że „literatura jest jedną z wielu gałęzi pnia drzewa narracji – i że nie ma *de facto* nauki, która brałaby pod uwagę całą roślinę (teatrem zajmuje się teatrologia, filmem filmoznawstwo, komiksami komiksoznawstwo, gramami komputerowymi ludologia czy game studies etc.)” (s. 30)¹⁸.

¹⁷ Nie chciałbym (bo trochę to niezręczne), wchodzić na grunt pozaargumentacyjnego komentowania własnej książki, by odsłaniać jej „wewnętrzne mechanizmy”, jednak odnotuję w parantezie, że jest ona, przynajmniej w zamyśle, pracą na metapłaszczyźnie parcjalnie samozwrotną: część teoretycznego wątku staram się wpleść także w formalną osnowę wywodu. Dlatego kiedy Paweł Kaczmarski zauważa życzliwie pewien pozanaukowy „potencjał” mojej książki i wskazuje, że część określona mianem „Wariacji analitycznych” zasługiwałaby na osobne omówienie, to ogromnie mnie to cieszy nie tylko ze zrozumiałych względów, lecz przede wszystkim z racji dostrzeżenia zamierzonego intramedialnego rozchwiania, rozkołysania czy rozhuśtania.

¹⁸ Spójrzmy jeszcze na wypowiedź niezmiennie młodego duchem nestora amerykańskiego literaturoznawstwa: „Gra komputerowa to inny rodzaj wirtualnej rzeczywistości, tak samo jak programy informacyjne, nie mówiąc już o telewizyjnych serialach. To bez wątpienia światy mniej wartościowe, powiedzielibyśmy my, niepoprawni czytelnicy «kanonicznych» tekstów. Jednak różnica być może wcale nie jest tak wielka, jak byśmy sobie życzyli”

8.

W każdym z punktów, o którym wspomina Przemysław Czapliński, można przyłapać autora (czyli mnie, dziś bardziej czytelnika własnej książki) na określonych preferencjach co do obierania rozwidlających się z czasem dróg, żadne z jego preferencji nie wpływają jednak – jak mi się wydaje i jak próbowałem pokazać – na nośność albo brak nośności samej szkieletowej propozycji. „Aby otworzyć to laboratorium”, pisze krytyk, „trzeba przyjąć, że człowiek nie istnieje osobno (więc nie można zdefiniować go wyłącznie w oparciu o to, co ludzkie), że potrafi czerpać impulsy antropologicznych zmian nie tylko z arcydzieł (więc nie wolno nam pomijać kiepskich fikcji) i nie jest wyłącznym sprawcą antropomodyfikacji (więc nie można pominąć antropokreacyjnej roli mediów)”. Pomijając fakt, że kiedy zaczynamy definiować, znaleźliśmy się już być może w miejscu, gdzie sprawa jest tak czy inaczej przesądzona, nigdzie nie twierdzę, że człowiek istnieje osobno, a jeśli proponuję ująć go ze względu na to, co ludzkie, to nie mam na uwadze perspektywy uniwersalnej, lecz tylko istotną z pewnego określonego i wyeksplikowanego punktu widzenia. Pomijając dalej fakt, że odwołujący się do wartościowania krytyk posługuje się jednak wartościującą kategorią „kiepskich fikcji”, wybór przedmiotu „wystawiającej refleksji” pozostawiony zostaje w laboratorium oczywiście samym reżyserom poszczególnych spektakli. Co zaś do antropokreacyjnej roli mediów, to, jak starałem się pokazać, nie tyle ją pomijam, ile – świadomie – biorę w nawias. Odnosząc się do „zamknięcia”, „zamykania”, i, mówiąc ogólnie, ekskluzji, które diagnozował Przemysław Czapliński, pisałem tu stąd o zamknięciu wirtualnym, pozornym czy projekcyjnym. W czym rzecz? Dyskursywne wywody przymknę (bez domykania) jedną z rabinicznych uwag Ludwiga Wittgensteina: „Człowiek jest *uwięziony* w pokoju, którego drzwi nie są zamknięte i otwierają się do wewnątrz; jednak nie przychodzi mu do głowy, by je *pociągnąć*, zamiast je pchać” (Wittgenstein 1995, 155). Mówiąc obrazowo: gdzie krytyk widzi drzwi zamknięte, ja patrzę na drzwi otwarte, i owa konstytutywna otwartość była i jest dla mnie arcyważna, bo zastąpienie jednych różnic innymi (to jest odwrócenie sugerowanej przez Przemysława Czaplińskiego asymetrii, czyli wprowadzenie różnic tam, gdzie jego zdaniem ich brak, i zniesienie ich tam, gdzie, jak twierdzi, są niepotrzebne) niewiele by dało – kolejny krytyk mógłby wszakże (jak się to też tu i ówdzie już przejawiało) zarzucić mi właśnie braki tam, gdzie pierwszy dostrzeża nadmiar itd. Dlatego też celem niniejszych uwag nie jest „refutacji refutacji”, lecz raczej – owszem – szukanie płaszczyzny porozumienia.

(Hillis Miller 2014, 89.) W mojej książce podkreślona zostaje akurat perspektywa „nie jest tak wielka”, ale z kolei w innej książce mógłbym przecież chcieć podkreślić „to inny rodzaj”.

9.

Książka – kończyłem swoją książkę, przywołując Antonia Tabucchiego – nie kończy się wraz z ostatnią stroną; „książka jest małym wszechświatem, który się rozszerza (*un libro è un piccolo universo in espansione*)” (Tabucchi 2003, 98). Który autor, pytałem na polu retorycznie, nie chciałby się z tym zgodzić? Ów mały rozszerzający się wszechświat z natury rzeczy nie może być oczywiście światem zamkniętym – i niezmiernie wdzięczny jestem Pawłowi Kaczmarowskiemu, że pojawiającym się w kodzie jego omówienia growym obrazem (który znajduje uzasadnienie w całym omówieniu, w uprawniony sposób konstruktywnie rozwijającym niektóre pomysły i tentatywnie polemizującym z innymi)¹⁹ zarówno wprowadził i zopercjonalizował koncept świata otwartego (zastępując nim, co w tym kontekście właściwsze, *opera aperta*), jak i zaoferował mi wsparcie od strony medium, którego moja dzisiejsza znajomość, po długim, lecz odległym już w czasie okresie intensywnego oddziaływania, pozostaje, nie ukrywam, wciąż jeszcze deficytowa.

10.

W ostatnim słowie Przemysław Czapliński opatruje mój projekt predykatem anachronicznego, Paweł Kaczmarowski wskazuje zaś na jego aktualność. Sam mówiłem czasem (żartobliwie) o awangardowym anachronizmie, czyli kontrolowanym powrocie do przeszłości. Nie wiem, czy moja propozycja jest anachroniczna – oznaczałoby to, że literaturoznawstwo kognitywne było przestarzałe jeszcze przed swoim właściwym powstaniem (co nie jest oczywiście logicznie wykluczone, wydaje się jednak osądem wartościującym dość apodyktycznie) – jednak wiem, że z założenia chciałaby być ona a-chroniczna. Filologię, która jest mi bliska, określiłbym mianem, mimo ryzyka błędnych skojarzeń, filologii spektaklu – od genealogii i morfologii fikcji do egzystencjalizmu spekulatywnego – czyli wystawianie fikcji w celu ożywiania i przyswajania chwytających naszą każdorazową faktyczność pojęć. Nie wiem, czy to projekt na czasie. Staram się uzasadniać, dlaczego warto dać sobie czas na taki projekt.

¹⁹ Praktykując ten właśnie rodzaj dalszej pracy z impulsami, o którym wspominam na początku. Notabene gdyby ktoś – puśćmy na koniec wodze fantazji – zapytał mnie, jak dorzecznie rozmawiać o omawianej książce, nie czytając jej, bez wahania poleciłbym mu wyczerpujące w odkrywaniu jej mocnych stron omówienie Kaczmarowskiego (oto dlaczego także, powściągnąwszy skłonności autofilskie, poświęcam mu tu mniej miejsca). Próbnie zainteresowanym czytelnikom pozwoli ono również łatwo zorientować się, czy warto poświęcić czas na lekturę samej książki – a następnie prześledzenie jej (licznych niewątpliwie) słabych stron.

Wykaz literatury

- Brandom, Robert B. 2009. *Reason in Philosophy. Animating Ideas*, Cambridge, Mass.: Harvard University Press.
- Chomsky, Noam. 2016. *What Kind of Creatures Are We?* New York: Columbia University Press.
- Coetzee, John Maxwell i Arabella Kurtz. 2015. *The Good Story. Exchanges on Truth, Fiction and Psychoanalytic Psychotherapy*, London: Harvill Secker.
- Czapliński, Przemysław. 2015. „Zamykanie laboratorium.” *Praktyka Teoretyczna* 2(16): 242-254.
- Davidson, Donald. 1992. „Zwierzęta racjonalne”. Tłum. Cezary Cieśliński. W Donald Davidson. *Esaje o prawdzie, języku i umyśle*. red. Barbara Stanosz. Warszawa: PWN.
- Dennett, Daniel C. 1997. *Natura umysłów*, Tłum. Witold Turopolski, Warszawa: CIS.
- Derrida, Jacques. 2001. *L'Université sans condition*, Paris: Galilée.
- Derrida, Jacques. 2011. *L'Animal que donc je suis*. Paris: Galilée.
- Diamond, Cora. 1995. *The Realistic Spirit*, Cambridge, Mass.: The MIT Press.
- Dick, Philip K. 2011. *Człowiek z Wysokiego Zamku*. Tłum. Lech Jęczmyk. Poznań: Rebis.
- Dickinson, Emily. 2000. *Wiersze wybrane*. Tłum. Stanisław Barańczak. Kraków: Znak.
- Gombrowicz, Witold. 2001. *Dziennik 1957-1961*, Kraków: Wydawnictwo Literackie.
- Gospodinow, Georgi 2009. *Powieść naturalna*. Tłum. Marta Hożewska-Todorow. Sejny: Pogranicze.
- Hamacher, Werner. 2009. „Für – die Philologie“. W *Was ist eine philologische Frage? Beiträge zur Erkundung einer theoretischen Einstellung*, red. Jürgen Paul Schwindt. Frankfurt/M.: Suhrkamp.
- Kaczmarek, Paweł. 2015. „Tak powinna wyglądać filologia“, *Praktyka Teoretyczna* 2(16): 255-277.
- Hillis Miller, Joseph. 2014. *O literaturze*, Tłum. Krzysztof Hoffmann, Poznań: Wydawnictwo Naukowe Uniwersytetu im. Adama Mickiewicza.
- Moretti, Franco. 2014. Przypuszczenia na temat literatury światowej. Tłum. Przemysław Czapliński. „Teksty Drugie” 4: 131-147.
- Nabokov, Vladimir. 2016. *Własnym zdaniem*, Tłum. Michał Szczubiałka, Warszawa: Aletheia.
- Nycz, Ryszard. 2014. Afektywne manifesty, „Teksty Drugie” 1: 9-13.
- Pound, Ezra. 1999. *Duch romański*, Tłum. Leszek Engelking, Warszawa: Czytelnik.
- Seel, Martin. 2009. *Theorien*, Frankfurt/M.: Fischer.
- Sloterdijk, Peter. 2001. *Die Sonne und der Tod. Dialogische Untersuchungen. Gespräche mit Hans-Jürgen Heinrichs*, Frankfurt/M: Suhrkamp.
- Шкловский, Виктор Б. 1983. *О теории прозы*, Москва: Советский писатель.
- Tabucchi, Antonio. 2003. *Autobiografie altrui. Poetiche a posteriori*, Milano: Feltrinelli.
- Ugrešić, Dubravka. 2013. *Kultura karaoke*, Tłum. Dorota Jovanka Ćirić, Kraków: Ha!art.
- Valéry, Paul 1973. *Cahiers*, éd. Judith Robinson-Valéry. T. 1. Paris: Gallimard.
- Wittgenstein, Ludwig. 1995. *Uwagi o religii i etyce*. Tłum. Małgorzata Kawecka, Wojciech Sady, Wiesław Walentukiewicz. Kraków: Znak, 1995.
- Żychliński, Arkadiusz. 2014a. *Laboratorium antropofikcji: Dociekania filologiczne*, Warszawa, Poznań: IBL, Wydawnictwo Naukowe UAM.
- Żychliński, Arkadiusz. 2014b. „Rzecz myślenia. O powrocie (figury) człowieka w filologii”. W: *Myślenie dziś*. [2], red. Mateusz Falkowski. Warszawa: Fundacja na Rzecz Myślenia im. Barbary Skargi.

Arkadiusz Żychliński – filolog, tłumacz i eseista. Doktor habilitowany, zatrudniony na Uniwersytecie im. Adama Mickiewicza w Poznaniu. Zajmuje się teorią fikcji, komparatystyką literacką, literaturoznawstwem kognitywnym oraz antropologią filologiczną. Autor książek *Unterwegs zu einen Denker* (2006), *Wielkie nadzieje i dalsze rozważania* (2013) oraz *Laboratorium antropofikcji. Dociekania filologiczne* (2014).

DANE ADRESOWE:

Instytut Filologii Germańskiej UAM

al. Niepodległości 4

61-874 Poznań

EMAIL: arkadiusz.zychlinski@amu.edu.pl

CYTOWANIE: Żychliński, Arkadiusz. 2015. „Otwarty świat. Addenda.” *Praktyka Teoretyczna* 2(16): 278-295

DOI: 10.14746/ppt.2015.2.15

AUTHOR: Arkadiusz Żychliński

TITLE: The Open World. Addenda.

ABSTRACT: Author's response to review essays of *Laboratorium antropofikcji. Dociekania filologiczne* by Przemysław Czaplński and Paweł Kaczmarski.

KEYWORDS: literary criticism, philology, posthumanities.